

# DLA TYCH, CO CZEKAJĄ

Marlena Hermanowicz

---

## WISIELEC

Dla tych, co czekają.

Dante

OSOBY:

OJCIEC

PAWEŁ

*Na środku sceny stoją dwa krzesła, plecami do siebie, jedno z nich przodem do widza. Kiedy postaci mówią, każda z nich kolejno zajmuje miejsce z przodu. Kiedy milczą, zajmują miejsce tyłem do widza. Ich wypowiedzi rozdziela wygaszane miarowo światło.*

OJCIEC Mówię, bo mi każesz. Tak sam od siebie, to już nie. Po co... Wmawiasz, że mam głos niepodobny do żadnego innego w świecie. Też mi oryginalność. Chyba każdy ma inny, no nie? Przepity... Przez nos mówię, katar mam. Zimno tu jak w psiarni, daję słowo. Słowo, słowa, mnóstwo słów, masa słów, milion słów, nieskończoność słowna. Najpierw słowo, potem obraz, potem dopiero myśl. Myśl. Myślę, że ja już nie myślę. Po prostu. Ot tak sobie. Może mi mózg zamarznął. Przestałem. Chyba mam prawo? Każdy ma dzisiaj prawo! Wszyscy mamy te swoje zasrane prawa! A komu lewo pozostało?! A ty to mnie jeszcze pamiętasz, tak w ogóle? Przychodzisz jak gdyby nigdy nic. Ktoś cię zawołał? Nie przypominam sobie. Nie pamiętam. Mało już pamiętam. Gdzie te czasy? Zabawne. Zdaje się, że ty zawsze wracasz. Zawsze jesteś. Czasem to tylko stoisz i gapisz się. Bez sensu, no nie? Przecież ja tyle razy chciałem, żeby ktoś przyszedł. Ktokolwiek. Żeby przyszedł, chociaż się tak pogapić. Tylko na chwilę. To zupełnie jak w pociągu. Też się każdy na każdego gapi tak na raty. Chwilowo. Udaje, że niby nie, ale i tak w szybie widać odbicie. Nawet jak czyta w gazecie te durne biografie. Jednorazowo się kogoś widuje, i to chyba wystarczy. Więcej dubli nie trzeba. Dzisiaj się ceni tę, no... Niepowtarzalność. I ciekawiej jest. Więcej się myśli na krótką metę. Nie wraca się do niepotrzebnych spraw i twarzy. Czekają, aż ktoś zaśnie z otwartą gębą, żeby stwierdzić, jakie to upokarzające. Chyba każdy ma czasem

takie dni, no nie? I to nie tylko człowieka nachodzi w pociągu, że sobie myśli, że wszystko jeszcze może. To dopiero potem się, kurwa, okazuje, że gównno może! Zła stacja! Zły peron! W ogóle wszystko jest jakby nie to! Miało być „od”, a jest już wszystko „do”. I co? No właśnie. Co, właściwie, z tego? Paweł to dobry chłopak jest. Tak. Uczy się. Ciągłe się uczy. On i te jego książki. Ale to dobrze, dobrze. Nie można powiedzieć, że po ojcu to ma. Niech się uczy. Zawsze taki lepszy niż jakiś... Zawsze się mógł gorszy trafić. Z kolegami nie, bo czytać musi. Że niby taki porządny i czytany. Z dziewczynami też nie za bardzo, bo tego, no... egzaminy ma. A może mu ta noga tak przeszkadza, tylko nie chce staremu powiedzieć? A co to komu szkodzi, że dzieciaki kulawy jak pies? Że co, że głupi przez to? A co, to moja wina, że do świata nie chce gęby otworzyć? Już inne dzieciaki go nauczą, że sam musi wyszczeakać, co jego. Sam się musi nauczyć życia! Ja też sam musiałem! Nikt mi nie tłumaczył, co się tu wyrabia! Łeb ma do książek, to se i poradzi. Czasem przychodzi tak i stoi. Gapi się na ten obraz, co to w przedpokoju wisi. Poniatowski na koniu czy jak mu tam. Ten, co to się tak o kraj niby troszczył, zaprzędając Rusom. I długo tak potrafi się gapić. Niemiłosiernie długo wlepia te swoje ślepia niebieskie. I nic nie mówi. Aż w końcu: PAWEŁ Wstań, tato. Zjedz coś wreszcie. Nie wolno tyle pić na pusty żołądek. Znowu cię będzie serce bolało. Pamiętasz, jak ostatnio do szpitala jechać musiałeś, bo tak... OJCIEC Won! Powiedziałem won! Patrzcie go! Będzie mi gówniarz mówił, co mam robić. Tego jeszcze nie grali, no! Za robotę się lepiej chwyć! A nie tylko byś o pierdołach gadał i te swoje książki czytał! Z głodu zdechniesz, jak mnie zabraknie! Ten swój papier będziesz żarł! Się będzie wymądrzał... Kuternoga jeden... Geniusz! A jak gębę otworzyć do ludzi, to już nie... Tu mi będzie nerwy psuć! Ty mnie tu na płacz nie bierz! Facet jesteś, nie baba! Człowiek haruje cały tydzień, a taki mi tu przyjdzie i będzie morały odstawiał... A że sobie od czasu do czasu wódeczką przepiję gorycz tego pieprzonego świata? Komu co to szkodzi? Do pudła jeszcze za to nie wsadzają. Za kieliszek czy pół litra? W końcu nie na to zapieprzam jak wół, żebyś, niewdzięczny, nawet mi kapci nie podał, bo to się niby brzydzisz! Śmierdzi? A co ma nie śmierdzieć? To zapach trudu! Trudu, a nie wódki! Też tak kiedyś będziesz. Przyzwyczaisz się do odoru znudzenia. Nic tak nie powala jak smród własnej porażki. Będzie mnie tu gówniarz ustawiał. Po matce ma ten tupet. Tamta też zawsze darła się wniebogłosy, że jej życie zmarnowałem. Leczyć mi się kazała. Sama się idź leczyć na te twoje depresje! No i poszła, tyle że nie na depresje. Na raka. Tyle z tych jej grózb wyszło, że teraz to sam muszę Pawła wychowywać. Szybko się ze świata pozbierała. Wiedziała, co się święci. To pewnie ta kobieca intuicja. Uciekła. Po prostu. Stchórzyła przed bólem. Kto to powiedział, że jak nowotwór, to od razu do trumny? Nie dała sobie wytłumaczyć, że cuda się zdarzają dobrym ludziom. Bo się zdarzają! Ale tylko tym dobrym. Ci źli to brudne twarze mają. Czyste muszą być do cudu. A ona? Czystą gębę miała. I ładną. Dlatego tak mi szkoda było, jak się powiesiła. Łysa nie chciała być. „Po co mam się dłużej męczyć, jak i tak niedługo umrę?” Złego lichy nie bierze. Może dlatego jestem tu ja, a nie ona. Całe życie mi wmawiała, że mam być silny, dupę sprężyć i do przodu, a teraz to ja tu siedzę, nie ona. I tak najgorzej było wtedy z Pawłem. To on ją znalazł, ja nie byłem tego dnia w stanie doczołgać się do sąsiedniego pokoju. On siedział tam całą noc. Zszokowany, kulawy chłopak. Dopiero nad ranem go zabrałem. Był prawie tak sztywny z zimna jak ona. Bo u nas to zimno jest cholernie. W grudniu szczególnie. Nawet jak w piecu rozpalisz, to i tak po godzinie znów nie wiesz, w co palce chować, bo odmarzają. Teraz to ja już nawet nie wiem, czy on tych włosów nie obcina, bo mu zimno w uszy, czy może łysy nie chce być, tak jak i jego matka nie chciała. A skąd ja mam to niby wiedzieć? A bo on mi się tłumaczy? Tylko raz go potem widziałem takiego jak dawniej. Jakiś grzdył go zaczepiał na podwórku: „Ej ty! To twój stary znowu wczoraj leżał narąbany na klatce schodowej? Byś mógł raz tę

szmatę sprzątnąć z podłogi! Co? Nie słyszysz? Ej! Wisielec!”. Tu trafił celnie. Pierwszy raz go widziałem w takim amoku. Normalnie to do takiego stanu żebym się doprowadził, muszę być po kilku głębszych. Ale Paweł? Paweł nie pije. Nigdy. Więc kiedy on tak bił aż do krwi tamtego gnojka, to do mnie dotarło, ile go to wszystko musiało kosztować. Te ostatnie godziny spędzone z chybotającą na sznurze od bielizny matką. O czym wtedy myślałem? O tym, że też mi ciężko? Że teraz sam będę musiał walczyć z tym wszystkim? Że teraz moja w tym głowa, żeby on zawsze miał czystą szyję? Gówno prawda! Jedno wielkie gówno! O tym myślałem, czy w monopolowym dadzą mi jeszcze, ten jeden ostatni raz, na krechę przed wypłatą. Sześć złotych, czterdzieści siedem groszy. Stan portfela. Stan Pawła? Nie wiem. Nic nie powiedział, jak wrócił. Pięści go bolały. Widziałem. Zacerwienione miał. Mocno musiał bić. Ale jak w słusznej sprawie... O swoje trzeba walczyć. Nikt niczego za darmo nie dostaje. Za darmo to możesz tylko w ryja dzisiaj zarobić. Chociaż nie. O to też się trzeba trochę postarać. Czasem to się bałem, że on sobie coś zrobi. Różne rzeczy mogą przyjść takiemu dzieciakowi do głowy, no nie? Nasłuchiwałem, jak leży w wannie godzinami... Słuchałem, czy woda pluszcze. Wstrzymywałem oddech. On też to robił. Specjalnie. Wiedział, że siedzę pod drzwiami. Chciał mnie ukarać, że opuściłem ten pieprzony dzień ojca w szkole, że nie chwalebę, jak dostanie najwyższą ocenę w klasie, że już nie pilnuję, żeby gębę miał czystą. Tyle się teraz mówi o tej patologii w biednych rodzinach. Że co? Że my niepełna rodzina, to od razu patologia? Co oni mogą o tym wiedzieć?! Co, w garach mi siedzą i obserwują, co żrę?! A co to, mój dzieciak w podartych portkach chadza po nocach głodny? A no nie. Że awantury czasem? Żadna nowość. To na każdym piętrze w kamienicy słychać, jak tylko człowiek chce usłyszeć. Różne mają ludzie te wojny. Czasem całkiem ciche. Dopiero nad ranem widać, jak kobieta stoi w spożywczym z siną twarzą. Cicho, ale za to konkretnie. Te głośne najczęściej naciągane są. Krzyku narobią, zamieszanie dookoła, a i tak żadne nie ustąpi. My z Pawłem mamy swoją własną wojnę. Wcale nie patologiczną, ale za to strategiczną. Sami się wykańczamy. Nawzajem. Łatwiej jest kogoś uderzyć, jak się zna słaby punkt. Lepiej chyba jak młodego sam nauczę, czego jeszcze ma się spodziewać od świata. Niech ślania się na nogach tam, gdzie nikt go nie widzi poza mną. Bo ja mogę. Ja wiem. Na zewnątrz niech sobie kuśtyka, ale odważnie i pewnie. W sumie to wielu rzeczy go nauczyłem. Świadomie czy nieświadomie, ale dzieciak chłonał jak cholera! Zżerał mnie jak pasożyt. Lepszy się zrobił niż ja. Domki z kart go nauczyłem stawiać. Teraz to nałogowo buduje. Sam buduje. Sam. Mało rzeczy robimy już razem. Chyba tylko razem burzymy to, co postawione. To, co miało być wieczne i piękne, rozpieprzamy w stertę porozrzucanych kart. Świat stawiamy na ostrzu noża, i bach! Czar prysł! Razem to my już tylko rozwalamy. Tyle że potem nikomu nie chce się gruzu sprzątać. Mamy w domu ruinę. Wszędzie leżą połamane niedomówienia i zwichnięte żale. Wszystko pokryte brudem.

PAWEŁ Mówią, że do ojca niepodobny jestem. Do matki zresztą też. Śmieją się, że do listonosza. Złościło mnie to. Wtedy jeszcze nie mogłem przypuszczać, że kiedyś będę dziękował za te słowa. Tyle niepodobieństwa między nami, że chyba tylko kości są te same, sklepienie czaszki, oczodoły. Zabawne, bo na pozór wszystko się niby zgadza. Kształt głowy, rysy twarzy, wzrost, sylwetka. Jednak czegoś brakuje. Coś się gryzie. Może bardziej z profilu, jakbym się za czymś oglądał? Jakbym coś trzymał w ręku? Jakbym coś innego miał na sobie? Zmienić czy domalować mi jakieś tło? Może brakuje kogoś obok? Nie, nie, to na nic. Za mocno się różnimy. Całkiem o czym innym myślimy, mówimy. Moja twarz. Twoja twarz. Nasze twarze. Twarze. Miliardy twarzy na powierzchni świata. Podobno każda inna od tych, co były i będą. Oby tylko natura nie zmęczyła się swoją pracą i nie nakładała nam twarzy kiedyś już noszonych. Twarz moja, twoja, czyja... nigdy się nie dowiesz. Może natura musi oszukiwać, żeby nada-

żyć. A jeśli łowi to, co zatopione było już w zwierciadle niepamięci, to czyją twarz mogą nosić? Może to i lepiej, gdybym umarł wtedy z nią w tamtym pokoju. Nie wiedzieć, co to płęć, dzieciństwo, starość. Słodka nieświadomość. Mniej bólu. Wtedy bardziej bolało, niż jak mi sam włosy zaczął obcinać na siłę, bo się bał, że pod nimi chowam złe zamiary i że kiedyś w nocy, gdy będzie spał, to mu gardło poderżnę. Chciał widzieć wszystko, a nic nie widział, chociaż starałem się wszystko mu pokazać. Z pozoru łatwo można było nim manipulować. Sprawiało mi to pewnie tak wielką przyjemność, jak jemu wyżywanie się na mnie. Ojciec nigdy nie dowiedział się, że wcale nie byłem kujonem. Że te wszystkie książki... Jedno wielkie oszustwo! Ścieśma! Chała! Musiałem mieć gdzie się schować. Musiałem mieć czym się bronić. Głowy nie miałem do nauki nigdy. Bo niby po kim? Matołem mnie nazywali. Nie przeszkadzało mi to. Byłem przyzwyczajony do mocniejszych określeń, na które wcale nie musiałem zasłużyć. Dostawałem je tak często, jak dzieci dostają cukierki w normalnej rodzinie. Książki były moim azylem. Nauczyłem się gapić w nie godzinami. Wyobrażałem sobie wtedy, że ktoś wejdzie do pokoju. Przyjdzie po mnie. Zabierze mnie stamtąd. Że to się wreszcie skończy. Ale nikt nie przyszedł. Musiałem jakoś przetrwać. Czekałem. Wciąż na coś czekałem. Głupi. Ale on też za mądry nie był. Celowo podawałem inną datę akademii na dzień ojca. Bałem się, co by było, gdyby jakimś cudem zdecydował się przyjść, żeby całkiem mnie pogrzyżyć. Nie mogłem dopuścić, by pokazał się światu w takim stanie. Wiedział, gdzie uderzyć, żeby bolało. Często wymyślał na matkę. Obwiniął ją, że zostawiła go samego z tym całym syfem. Ja też... Ja też w przypływie gniewu przeklinałem ją w myślach. Jak mogłaś zostawić mnie samego z nim? Tej nocy, gdy ją znalazłem... To był mój pierwszy koniec świata. Dla psa oznaczałoby to nowego pana. Dla mnie oznaczało to powolną agonię. Cięcie kawałek po kawałku. Wyrwanie wnętrzości na żywca. Tak bardzo chciałem, żebyś zabrała mnie ze sobą, ale to nie ty... To on mnie wtedy zabrał do pokoju obok. Pokoju pełnego butelek. Potem zabrali ciebie i już nigdy... Czasami to się budzę z płaczem, bo nie potrafię sobie przypomnieć twojej twarzy. On podarł wszystkie twoje zdjęcia. Wyrzucił twoje rzeczy. Ja miałem tylko ten pokój. Twój grobowiec. Ale nie na długo, jak się okazało. Zabrali mi ciebie. Wiedziałaś już wtedy mało o tym świecie, za to z uporem godnym lepszej sprawy. Ja wiem o nim wiele więcej, za to nie na pewno. Rozmowa się nie klei. Na pożegnanie nic, usta otwarte jak do krzyku, sztywne i żadnego wzruszenia. Dopiero, gdy znikasz i zostawiasz swój głos w pośpiechu, przechowuję go nadal. Rozpoczęła się wojna. Wojny. Wojny są i zawsze będą. Ale i są między nimi przerwy. Baczność? Ludzie są źli. Spocznij? Ludzie są niby dobrzy. Na baczność sieje się zniszczenie. Na spocznij w pocie czoła buduje się domy-grobowce i prędko się w nich mieszka. Nie wiem, która była gorsza. Ta cicha czy ta głośna. Obie bolały. Długo bolały, a do szkoły trzeba było chodzić i umiejętnie ukryć rany z pola walki. Najgorzej było wykręcać się od badań lekarskich. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie kusiło mnie wykrzyzczyć światu, że mam połamane zębra, że kuleję, bo mnie... Że mnie niszczy, a nikt nie chce zauważyć. A gdzie ojciec? Dlaczego nie było go na zebraniu? Pracuje. A dlaczego nie pojawił się na akademii? Pracuje. Dzienniczek podpisany? Gdzie podpis ojca? Pij... Pracuje. Potrzeba mi więcej czasu. Proszę pani, mój ojciec pracuje, więc pije! Każdemu, kto pracuje, wolno pić i to wcale nie jest patologia, bo przecież mam porządne spodnie. Fakt, że przykrótkie i brudne. Ale domki z kart ojciec nauczył mnie stawiać. Kazał mi je stawiać. Tak długo, aż postawię, inaczej... Zawsze było to samo. Ona pewnie podejrzewała, że coś jest nie tak, ale nigdy o nic nie spytała. Po co komu zamartwiać się problemami innych? A co to, mało ma się swoich? Nawet jak raz ze śliwą przyszedłem pod okiem... Dzieciaki się śmiały. Zawsze jakoś tak słyszałem za sobą śmiechy. Nigdy nie było ciszy. Chciałem ciszy. Cisza była w domu, ale trzeba było na nią czekać. Zasłużyć

trzeba było na ciszę. Zaciskać zęby. Cierpliwości, powtarzałem sobie. Wyjdiesz z tego. Potem już wszystko wiedziałem.

OJCIEC Raz to nawet chciałem posprzątać. Wszedłem do jego pokoju. Te książki chciałem zobaczyć, co to tak ciągle czytuje. No, skoro woli to, niż mecz obejrzeć ze starym w telewizji, tak jak w normalnej rodzinie... Coś w tym musi być... Wkurwiłem się, jak mi nie chciał wytłumaczyć, co znaczą te jego mądre słowa! Ze mnie głupa będzie robił! Przyrznąłem mu! Przyrznąłem... Rozbeczał się jak baba... To mu poprawiłem. Nikt nie będzie ze mnie... Długo ryczał, aż w końcu wyszedłem. Zamknąłem drzwi. Na trzy dni. Trzy dni. Trzeciego dnia zmartwychwstał. Później się dowiedziałem, że on żarł ten papier z głodu. Srał pod siebie ze strachu. Sam sobie stworzył papierowe pudło! Sam mi kazał się tam zamknąć! Mogłem przecież go tam spalić! Mogłem niedopałek rzucić! Wszystko by poszło z dymem! Spłonęlibyśmy. Zabawne to nawet, samemu na stos wejść i rzucić... Niedopałek. Myśl mi uciekła. Wtedy też nie wiedziałem, co mam myśleć. Jak te drzwi otworzyłem. Zamiast palić, oblałem to. Dosłownie... Oblałem. (*wstaje, kuśtyka, przechadzając się po scenie*) Zjadłbym coś. Paweł, weź zrób mi jajecznicę!

PAWEŁ Z ceb... Cebulą? Z cebulą, tato?!

OJCIEC Czy ty już nigdy nie przestaniesz?! Przecież pamiętam, że nie cierpiała smrodu cebuli! Ale ja lubię! I będę jadł! Tak jak zawsze jadłem. Bo tu się nic nie zmieniło! Wszystko jest po staremu. Nie masz się tam czym martwić. My sobie poradzimy. Zawsze jak wracała do domu z roboty, to włosy jej cuchnęły cebulą. Nienawidziła tego. Mnie nie przeszkadzało. Ale ona nienawidziła. Mówiła, że już dłużej znieść nie może widoku ludzi obżerających się jak świnie. Po brodach im ścieka to żarło, pchają w siebie ten tłuszcz, aż się w końcu rozepchają i pękają. W lato to mówiła, że te wieprze jak na rożnie się smażą i wydzielają pot... Odechciało mi się tej jajecznicy. Znaczący, apetyt straciłem. Ty, weź tam, nie rób tej jajecznicy! Ja już nie chcę!

PAWEŁ I tak przypaliłem...

OJCIEC Nie ma tego złego... Zapalić muszę. Sorry, ale nałóg to nałóg. Pierwszeństwo mieć musi. Ja wiem. Oni piszą na tych paczkach, że to samobójstwo. A co mi będą tłumaczyć! Kto jak kto, ale ja o samobójstwie wiem już wszystko, no nie?! Aż ciśnienie schodzi z człowieka, jak się tak zaciągnie. (*po chwili*)

Wszystko się spieprzyło, jak mnie z roboty wywalili. Ktoś podkablował majstrowi, że czuć ode mnie... Znaczący, wódką czuć. Gdybym wiedział, który to... Wtedy dopiero się zaczęło... Właściwie to wtedy zaczynało się kończyć. Ja się kończyłem, więc Paweł też musiał. W genach chyba odziedziczył tendencję spadkową. Ja to bym sobie może i poradził, ale dzieciaka trzeba było pilnować, żeby miał na te swoje książki. On i tak nie mógł już na mnie patrzeć. W ogóle na mnie nie patrzył. Bo i na co tu się gapić? A co ja małpa w cyrku jestem?! A może i jestem. Ale to moja sprawa jest! Tobie nic do tego! Jaki ty masz właściwie kolor oczu? Długo się do kupy zbierałem, jeżeli można to tak nazwać. Mało szczegółów rejestrowałem w tym całym jego dziwnym zachowaniu. Że takie było, to powiedzieli mi później. Inni mi powiedzieli. Cały czas starałem się zapić ból wątroby. To już nie te lata, kiedy człowiek mógł sobie pozwolić. Siwy łeb, a głupi! Niech ci się nie wydaje, że jak stary to i mądry! D! D jak dupa wołowa! Wtedy to ja też tak się łudziłem. Ale jak się później okazało, to on był ten lepszy. On był mądrzejszy. On zawsze wiedział, co wolno, a od czego wara! Pieprzony ideał! Moralista! I nawet nie jestem zazdrosny! Nie jestem! Bo nie każdy musi być ten dobry. Ona też go wołała ode mnie. Kto by nie wołał?

PAWEŁ Na środku pokoju wśród sterty potarganych gazet leży papierowe, nadgryzione małe jabłko ze śladami zębów. Obok leżą ja. Bezsilny. Ranny. Syty pogardą. Dopiero, gdy zmartwychwstał po trzech dniach, mogę oddychać w pionie. Na początku nie mam siły. Płuca boją. Wszystko boli. Najbardziej godność. Wszystko mi wtedy przy-

chodziło do głowy. Powstrzymywała mnie tylko myśl, żeby mu nie ułatwiać. Niech się męczy. Niech patrzy na swoje dzieło. Modliłem się... Modliłem się, gdy musiałem robić obrzydliwe rzeczy. Czy jestem jeszcze dzieckiem bożym? Czy jestem podobny do ojca mojego? Czy ja w ogóle jeszcze jestem? Skoro przyniósł już kanister. Skoro oblał mieszkanie benzyną i chciał spalić to wszystko w cholerę... Chciał mnie spalić... To dlaczego zabrakło mu wtedy gazu w zapalniczce? Usiadł na ziemi i śmiał się. Długo się śmiał. Dłużej niż inne dzieciaki. Głośniej. I nie było ciszy, gdy starałem się uciec do mamy. W myślach układałem, jakby to mogło być, gdyby moja głowa opierała się teraz na jej kolanach, a nie na ziemi. Może miałbym siłę wytłumaczyć, że nie znałem znaczenia tych wyrazów, że za głupi jestem, bo nikt mnie tego nie nauczył, że bym chciał, żeby on, choć raz był... Ale siły nie miałem! Zdawało mu się, że wiedział o tobie wszystko, mamó. Słyszysz, co za głupota? Myślał, że wiedział wszystko... Nawet do głowy by mu nie przyszło, że miałeś inne marzenia niż to straszne mieszkanie ze strasznymi mieszkańcami. Pojęcia nie miał, jak ty kochałaś ten fortepian. Ani razu o nim nie wspomniał, odkąd go porąbał w amoku. Wrócił po kilku dniach nieobecności. Nawet mnie nie poznał. Wyrzucił mnie za drzwi. Była czwarta trzydzieści pięć rano. Siekierą go porąbał. Nigdy nie słyszał, jak gram. Robiłem to zresztą tylko wtedy, gdy go nie było. Wszystko mi zabrał. Gryzłem papierowe jabłko i myślałem, że gniotę ciasto z gazet. Że jak przeżuwać papier, to on puchnie mi w ustach, że to ciasto, które ulepiłem z fotografii, to pewnie już zakalec, i że mi głowa pewnie też spuchnie i ciężyc będzie, bo nie będę miał siły jej podnieść. Zwieszałem głowę ku podłodze. Na tyle stać mnie wtedy było. I jeszcze na nieśmiałą myśl, że może ta jego wątroba chora i serce to taki podstęp Boga. Taka bomba tykająca, co to wysadzi w powietrze cały ten koszmar. Drzwi jednak otworzyły się. Patrzył mi w oczy, czekał. Czekał, co ja na to. Pocieszał, że mogło być gorzej. W myślach proponuję rozstanie. Od dzisiaj na zawsze. Tak po prostu zastrzelę go albo chociaż zadżgam. Wówczas on uśmiecha się z politowaniem, bo wie, że to byłby wyrok na mnie. Okazałoby się, że miał rację. Że jestem taki sam jak on.

OJCIEC Wiek! Czterdzieści siedem. Imiona rodziców! Zbigniew, Katarzyna. Doświadczenie zawodowe? Pracowałem... No, gdzie pan pracował? Na budowie. Pewnie jeszcze na czarno! Wykształcenie? To w takim razie, jako kto chciałby pan pracować? Oddzwonimy, jeśli coś się znajdzie... Ale ja nie mam tele... To proszę przyjść w przyszłym miesiącu, może wtedy... Cały miesiąc... A co pan myśli? Że my cuda... Uszanowanie, rączki całuję. A wsadź se te swoje cuda! Też mi łaska! A co mnie obchodzi, że słyszała! Niech słyszy! Dobra samarytanka się znalazła! Na siłę świata nie uszczęśliwi! No tak czy nie? Odczekałem ten miesiąc. Dwa nawet czekałem. Kolejne trzy już nie czekałem. Na nic już nie było sensu czekać. Paweł też się niecierpliwił, ale tylko na początku. Potem też już przestał. On się nawet starał. Tyle że świata na siłę nie da się uszczęśliwić, i koniec! W pośredniaku byłem raz. Pierwszy i ostatni. Tyle się teraz mówi o bezrobociu. I dobrze. Trzeba mówić o tym, co żałosne. Można się dowartościować, że się nie jest jak to całe zawszone gównó. Się jest kimś! Najważniejsze to mieć! Nie być, ale mieć! Kasujesz bilet w autobusie. Gazetę codzienną kupujesz. Kawę z mlekiem pijesz. Liczysz się! Pierdolony prestiż! A cała ta reszta? A co cię to w ogóle obchodzi?! Zmartwienie zmarszczki powoduje. Uśmiech! Uśmiechnij się! No, dlaczego się nie uśmiechasz? Przecież życie jest takie piękne. Ja wcale nie chcę, żebyś patrzył z politowaniem! Nie wolno dzisiaj współczuć. Bo i nikomu to niepotrzebne. Konkretoń chcemy! My, plebs, chcemy lepszego życia! Nie! My żądamy kasy! Kto ma kasę, dzisiaj się liczy! Money, money, money! Prostego człowieka nikt już dzisiaj nie szanuje. Nie pracujesz, nie żyjesz. Dosłownie. Nie żyjesz. Sąsiedzi skutecznie starają się zajmować swoimi sprawami, gdy leżysz skończony na ulicy. Każdy ma swoje cztery ściany. Gorzej, jak ci je odbiorą. To był dla Pawła szok. Myślał,

że już nic nie zdoła go zranić mocniej niż ja. Aż tu nagle... Łup, dup! Rozwalił się ten cały domek z kart! Poskładały się ściany, co to kryły karaluchy przed światłem dziennym. Nakaz eksmisji. Dla niego wyrok śmierci. Dla mnie najwyżej zawiasy. Żadna różnica, czy leżę jak łachudra na klatce schodowej, czy na ulicy, skoro i tak nikt mnie nie widzi! Przewroczyły się zrobiłem! Procentowa czapka niewidka! Trzeba było coś zrobić z tą makulaturą, co to po nas została. Przecież nie może chłopak na ulicy mieszkać... Nie może. Nie może? A kto powiedział, że nie może? Ja to powiedziałem? Może tak mi we wszystkim nie wierz na słowo. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Mnie też łatwo nie było, jak byłem szczyłem. Szesnaście lat miałem, jak pożegnałem się z rodzicami. Właściwie to sami mnie pożegnali, trzaśnięciem drzwi. Wyleciałem jak poparzony. Tak jak stałem. Z pustymi rękoma. Sam musiałem nauczyć się, jak przetrwać. Nikt mi ręki nie podał. Jak brudne paznokcie, to już się brzydzą. Syfa dostaniesz i zdechniesz jak pies! A nie! Zwierzęta umierają, to źli ludzie zdychają! Paweł też się zezwierzęcił. Jak ktoś był udomowiony, a teraz się go puści samopas, to muszą być te... Jak im tam? Konsekwencje! No, muszą być konsekwencje, i już. I były. Od razu wyczułem, że coś nie tak, bo już mu się nawet nie chciało przychodzić do naszego nowego „domu”. Dogadał się ze stróżem w szkole. Spał na ziemi w jakiejś klicie, obok rozsypanej trutki na takie szczury jak my. Szczury! Bo jak inaczej można nas nazwać? Ten nasz nowy dom... To też zabawna w sumie historia. W każdym mieście trafi się zawsze jakiś opuszczony, surowy budynek z tabliczką: „Uwaga! Grozi zawaleniem i śmiercią!”. Śmiercią mi grożą? Mnie grożą? A po co? Czy oni nie wiedzą, że dla takich pluskiew to nawet śmierć się nie fatyguje? Nie, my się będziemy długo męczyć i zdychać z pragnienia. Ja często zdychałem z pragnienia. Wtedy jak Paweł przyszedł do nowego domu, też zdychałem z pragnienia. Wtedy też wyczułem te jego konsekwencje. Kazałem mu iść do sklepu. Po wódkę mu iść kazałem. Odmówił. Zacząłem wrzeszczeć, że jak nie pójdzie, to mu łeb ukreć! Co to będzie ojcu się sprzeciwił?! Nie pójdzie i już. Raz pójdzie, to już zawsze będzie musiał tam wracać i kraść. Chrystus się znalazł! No tak! Ty wolisz się skręcać, gdy inni rozpychają żołądki, i tylko lizać z głodu szybę, za którą te świnię się poca, bo za wielki to wysiłek ruszyć zad do kibla i z powrotem! Niech mu zamontują kibel obok stolika! To się nie będzie musiał pocić! Idź po tę wódkę! Ojca wątrobą znowu boli, chyba nie chcesz...

PAWEŁ Nie pójdę.

OJCIEC To wyjazd stąd! Po coś mi tu w ogóle przylazł! Co? Na chleb chcesz? A skąd ja mam niby wziąć na chleb?! Do żadnej opieki społecznej nie pójdę! Nie! Już ja tam swoje wiem! Nie uda im się mnie złamać! Tylko hieny czekają! Wasze niedoczekanie! Ty. A może oni ciebie przysłali, żebyś ty im pomógł starego wykończyć? Co ci obiecali? Pewnie książki nowe! Może na obiad cię zabrali? Co sprzedajeś?!

PAWEŁ Książki.

OJCIEC Jasne! Już w to uwierzę! Książki byś sprzedał... Zrobiłeś to. Sprzedałeś. A co ty jeszcze sprzedajeś? Pytam, co jeszcze sprzedajeś?! No, odpowiadaj! Mów, kiedy ojciec ci każe! Chodź tu, ty mały... Już ja cię nauczę... Poczekaj tylko, aż... Aaa! Wracaj tu! Wracaj... Gdyby cię teraz matka widziała. Mógłbyś chociaż tę szyję wyczyć... Gdybyś mnie teraz widziała.

PAWEŁ Rzeczywiście, sprzedałem książki. W antykwariacie. Na dworcu. Za grosze. Jak się okazało, były bezwartościowe. Moja osłona przed ciosem była bezwartościowa. A może tylko ten stary, z rękawiczkami bez palców, wykiwał mnie? Nie wiem, byłem zbyt głodny, by zdawać sobie sprawę, że za dwa dni nie będę miał już za co kupić suchej bułki. Nie zdawałem sobie sprawy, jak trudno będzie mi zebrać o jedzenie. Do czego zmusić może człowieka brak chleba... Ludzie nie chcą pomóc. Jak zebrać, to od razu ćpun. Skąd mogli wiedzieć, że ja tylko czekam, a od niszczenia mnie od

wewnątrz mam już kogoś i żadnych skrętów mi nie potrzeba. Ja tu tylko czekam. Tak jak ojciec niby czekał na telefon. Gówno prawda. W żadnym pośredniku nigdy nie był. Musiał jakoś zabić wyrzuty sumienia, skoro alkohol nie pomagał. On nigdy do ludzi gęby nie chciał otwierać. Pośrednik byłby dla niego poniżający. Przecież on pracował przez całe życie. Pracował i miał prawo pić. A teraz, to co mu da to prawo? Jakie znajdzie usprawiedliwienie? To proste. Bezrobotny to co ma robić, jak nie pić, skoro cały świat jest przeciwko niemu? Tak najprościej. Wbrew pozorom nakaz eksmisji nie był dla mnie zaskoczeniem. Należało się tego spodziewać, skoro ojciec przepijał każdą złotówkę, którą chciałem na chleb odłożyć. Spirytusy, denaturaty, wiśniówki, wszystko, byleby tylko nie kieliszek normalności. Należało jak najszybciej uciec. Stanąc na własne nogi i nie czekać, aż kolos o imieniu autorytet ojcowski runie i przyniecie mnie ostatecznie. Ojcu powiedziałem, że dogadałem się z woźnym i nocowałem w narzędziowni. Dorzuciłem jeszcze to o szczurach. Wiedziałem, że go brzydzą. I dobrze. Tak naprawdę to dworzec stał się teraz moim azylem. Trzeba było walczyć o wszystko. O pustą ławkę, która stoi w miejscu najrzadziej patrolowanym, o miejsce w kolejce po posiłek w punkcie pomocy bezdomnym, o to, żeby nikt nie rozpoznał twojej twarzy na ulicy, gdy błąkasz się w centrum z wyciągniętą ręką. Nawet nie wiem, dlaczego nie przyznałem się do tego ojcu. Może po prostu podejrzewałem, że on robi to samo, że ten mężczyzna w kolejce w tej znajomej czapce, o włosach zaczynających już siwieć, to może być on. A może po prostu bałem się, że znowu radzimy sobie w ten sam sposób. Tyle że ja byłem młody. Ładniejszą gębę miałem, to i czasem parę groszy wpadło. Raz chyba tylko przyszedłem potem do tego naszego niby nowego domu. Domu bez prądu, bez gazu, bez wody, nawet bez kibla. Kazał mi iść po wódkę. Wiedziałem, że jeśli raz się zgodzę, to będę musiał chodzić już zawsze. Wiedziałem też, że nie miał pieniędzy. Nikt nie karmi kalekich nieudaczników, to i czemu on miałby być wyjątkiem. Miałem iść kraść. Miałem zniżyć się do jego poziomu. Nie! Nie pójdę. Nie pójdiesz?! Nie pójdiesz?! Ty mi nie będziesz tu wymyślał! Jak każę, żebyś szedł, to masz iść, i to migiem! Nie! Chodź no tu, ty mały... Już ja cię nauczę... Poczekaj tylko, aż... Aaa! Wracaj tu! Wracaj... Gdyby cię teraz matka widziała!... Gdybyś mnie teraz widziała, mamoo...

OJCIEC Wkopałem się w to gówno po uszy. Jasna cholera, że też nie mogłem ryja zalać wodą, tylko wódką musiałem! Za wszelką cenę, byleby tylko coś było mocnego! Słabe już mi nie wystarczają, za bardzo boli. Muszę się znieczulać. Wstaję rano. Ściele łóżko. Odkładam starannie gazety na kupkę, pod boczną ścianę, tam gdzie sufit nie przecieka. Będą suche jeszcze przez najbliższe kilka dni. Staram się ogrzać i rozpalic kilka z nich. Oszczędnie. Bez pośpiechu. I tak nie mam planów na dziś. Nie mam planów. Plany. Głowa już pękała od myślenia, co będzie dalej. Nie trzeba wcale tyle myśleć i też da się przetrwać. Serio. To nawet łatwiejsze. No więc, jak już grzeję się przy smrodzie palonej makulatury, to siedzę i gapię się w dziury w suficie. Długo tak potrafię. Już wiem, po kim Paweł... Dawno go tu nie było. Ile on ma już tak właściwie lat... Czternaście? A może piętnaście? Zima idzie. Będzie coraz zimniej i ciemniej. Napiłbym się czegoś. A może by tak na dworzec pójść do chłopaków? Po wódeczkę... Ogrzać się. To zajmie kilka godzin, taka wyprawa... Sucho. Może by czegoś do jedzenia poszukać. Nie, napić bym się czegoś wołał. Strasznie suszy. Wszystko jedno czego. Muszę iść... Aaa! Przeklęta wątroba! Kiedyś się doigrasz, za te swoje kaprysy! Ty! Stary, ile chcesz za tę piersiówkę? Co? Nie wiem, skąd żeś tu ukradł, ale jak cię z tym zdybia na Centralnym, to areszt murowany. Za co? Nie za co, tylko za ile? Pół litra mogę dać. Denaturat. Mocny jest. Długo trzyma. Nie wszystko naraz. Bo oślepnąć możesz. Albo co ci tam jeszcze nawala. Co nawala? Mnie nawala?! Człowieku, nie takie rzeczy już przeżyłem. Daj spróbować chociaż. Muszę wiedzieć, za co placę. Cholera... Co to jest?! Skąd ty to masz? Co nie moja sprawa? Właśnie, że moja



sprawa! Ty wiesz, ile warta jest ta piersiówka? Gównu wiesz! To wszystko, co mi zostało! Wszystko! Wyobrażasz sobie?! Stracić wszystko... Nie użalam się! Interes to interes. Pół litra to za mało. Jaki znów przekręt?! Ja niczego nie obiecywałem! Zero siedem co najmniej. Daj jeszcze skosztować. Trzeba oblać pożegnanie ze starym światem. Słabo mi... Cuchnie ta woda niemożliwie, aż muli... Nie da się tego przełknąć... Boże...

PAWEŁ Nikt ci do gardła nie wlewał. Sam sobie...

OJCIEC A ty, weź się nie wtrącaj! Ja teraz mówię! Starszym się nie przerywa! Słuchaj, to się czegoś może i nauczysz. Normalnie to nie śpię w dzień. Zresztą Paweł może potwierdzić. Bo tego... Nogi mi drętwieją. Znaczy w ogóle dziwna sprawa. Nie wiem, może ja się boję. Głupota, bo to przecież dzień, to koszmary śnić się nie powinny. A ja, rozumiesz, śpię i w tym śnie jestem świadomy, że śnię. Staram się obudzić swoje ciało, za wszelką cenę chcę poruszyć rękoma i nogami, i nagle panika! Kurwa! Nie da rady! Paraliż... Wtedy zaczynam myśleć, a co jeśli tak już zostanie na zawsze? Jak się tak człowiek zawiesi między... No właśnie, między czym niby? Bo co to jest?! Jakaś pieprzona koszmarna wieczność?! Słabo to widzę... Wtedy jednak długo musiałem spać, że nic nie pamiętam. Jak się obudziłem, to już była kropłówka. Jakiś stary facet leżał na łóżku obok. Srał pod siebie z bólu. Też bezdomny. Widać po nim było. No i widać po tym, jak o nas dbali. Ten tam jęczał ze czterdzieści minut, zanim wtoczyła się do sali oddziałowa z krzykiem, że znowu zapaskudził całą pościel. Ja leżałem odrętwiały. Starałem się, żeby nie zwróciła na mnie uwagi. Po raz pierwszy od tak dawna było mi ciepło. Fakt, że koc śmierdział stęchlizną, no i obok ten stary darł się wniebogłose, wzywając pielęgniarkę od najgorszych szmat. Myślałem jedynie o tym, że mógłbym już tam zostać na zawsze, że to byłaby lepsza wieczność, niż ta wcześniejsza, zawieszona. Trzy dni tam spędziłem. Podobno ostre zatrucie. Czym? Nie wiadomo, silne chemikalia. Piersiówka! Gdzie jest moja...? A to łajdak! Złodziej! Okradziono mnie! Skończ pan tak tego ryja wydzierać! To jest szpital! Na moim oddziale ma być cisza! Zrozumiano?! No i cisza była. To znaczy, ja byłem cicho, bo tamten nadal jęczał.

PAWEŁ Miałem szesnaście lat, gdy zastanawiałem się, czy mój ojciec przeżyje zimę. Może sam mu źle życzyłem? Wydawało mi się, że zamarznie na śmierć w tym budynku z dziurawym dachem. Nie mogłem przecież chodzić tam co dzień i sprawdzać, czy to już. To mogłoby oznaczać, że mi na nim zależy czy coś. Rzadko tam chodziłem. Przeważnie nocą. Stałem w progu, ukryty za płaszczem wiszącym na haku zrobionym z gwoźdźcia. Nigdy go nie budziłem. Nie miałem pewności, czy nie... Sprawdziłem, czy oddycha. Tak jak on kiedyś... Może po prostu się bałem. Różnie to bywało. Od kiedy ojciec zaczął się pojawiać na dworcu, musiałem zacząć uważać. Zawsze mógł mnie z kimś zobaczyć, jak zarabiam. Nie chciałby widzieć, jak jego syn... On by tego chyba nie zniósł. Może to byłoby właściwe rozwiązanie na to moje czekanie? Kryłem się. Mówili, że ojciec zadawał się z najgorszymi lumpami. Z Rudym go widzieli. Rudy rozprowadzał trefny towar, lewy alkohol, po którym kilku już oślepiło, a jednemu coś się na rozum rzuciło. To nie wróżyło nic dobrego. Jak przez kilka dni się nie pojawiał, to pierwszą moją myślą było to, że już pewnie nie żyje. Wiem, że pił wszystko, nie przejmując się, co, byleby tylko zapić tę wątrobę. Nie wytrzymawał z bólu. Na trzeźwo nie potrafił nawet chodzić. Kompletny wrak. Dopiero później ktoś rzucił od niechcenia, że karetka zabrała jednego. Istniała więc szansa, że jeszcze żyje. Nawet jeśli to on. Nawet jeśli jeszcze żyje. To czy chcę raz jeszcze do tego wracać? Przecież jestem na odwyku. Poszedłem do jedyne go szpitala w mieście przyjmującego bezdomnych z interwencji. Z czystej ciekawości poszedłem. Musiałem wiedzieć, czy to on. Musiałem się upewnić. Widziałem, jak leży nieprzytomny. Usta miał tego samego koloru, co mama, kiedy ostatni raz ją widziałem... Panowała cisza. Spał.

OJCIEC Zastanawiające, dlaczego ludzie boją się trzynastego. Zresztą. Kto dziś zastanawia się nad czymkolwiek? Dzisiaj po prostu się robi. Nie myśli. Bo niby dlaczego powietrza nie widać, a jednak jest. A powietrze przydatne. Każdy spieprza od myślenia gdzie tylko może, żeby móc powiedzieć, że dalej nie zamierza się nic. A co to znaczy w ogóle móc? Co my dzisiaj możemy? No, ale weź ty mi powiedz! No proszę! No, jak jesteś taki mądry jeden z drugim, że kogoś oceniać potrafisz? Że osądzisz i skarzesz najlepiej, bo to modne, żeby tak na krzesło elektryczne. Do nas też to przyjdzie. Zobaczysz, jeszcze wspomnisz słowa starego. Głowy będą nam odgryzać i przeżuwać, a potem długo i bezboleśnie trawić, aż im rozpieprzy żołądki! *(po chwili)* Włosy mi jaśnieją od słońca. Palce mam czerwone od zrywania maków. Duszo jest. W gardle mnie pali. Po winie. Wiesiek Bąk przyszedł pod sklep z Mańkiem Zającem. Inni przyjdą później. Za gorąco. Do rzeki trzeba było iść, ochłodzić się. Rąk nie potrafiłem domyć z tych maków. Nie przejmowałem się. Niczym się wtedy nie przejmowałem. Na wieś wyjeżdżaliśmy z matką co roku. Staw pamiętam. To był ten, w którym mały Karol Lipniak został na zawsze, choć go ojciec z pola wołał do domu. Już nie przyszedł. Tam człowiek nie musiał być zawsze tym, co to własnymi skrzydłami młodości ulice zamiata. To tylko tutaj. Dzisiaj. Tam nikt nie szukał w trawach wzajemnych pretensji. To znowu tylko u nas tak się przyjęło, że one rosną już na drzewach i się wpięprzają oknami do domów. Światło zabierają. Ale człowiek nigdy nie podejrzewa... Bo natura dobra jest! Człowiek z natury dobry jest! A że czasem popełnia błędy... Ludzka rzecz. Szkoda, że nie pamiętasz, że wszystko w naturze ma swoją datę ważności! Tylko dobre wino im starsze, tym lepsze. I nie to ze wsi. Ludzie pod jogurty bardziej podchodzą. Przeteterminowani jesteście! Tak! Ty nie kpij! Bo ja prawdę mówię! Pleśń się załęga pod tymi naszymi kopałami! Pleśń i zwyrodnienie! Milczysz... A ja tam swoje wiem. Dreszcze cię powinny przejść od stóp do skroni, a ty się śmiejesz głupio i wlepiasz te swoje gały w tego, co to debila z siebie na środku robi! Ale ty sobie uważaj! Bo też tu możesz kiedyś wylądować! Na środek cię wyciągną i karzą robić ten cały rachunek sumienia! A w dupie mam, co sobie myślisz! Ale nie o tym chciałem. Na wsi to lubiłem nie tylko te maki. Niebo kochałem. Jakie tam było niebo! Zupełnie inne. Ja poetą nie jestem, to mi ciężko słowa znaleźć. Tam się samoloty robiło. Nie samoloty! Te no... wiatraki! Że się człowiek kręci kilkanaście razy szybko wokół własnej osi i wtedy się gubi wszystko w kilku obrotach. Jak na kacu, ale nawet pić nie trzeba. Choć zawsze przyjemniej. Na trawę się pada i się gapi, bo co innego robić. I tak się nie jest w stanie pochłonąć tego wzrokiem, bo ma się wrażenie, że niebo żera ziemię, że miazdzy i przygniata ciężarem. Wysysa kolory. Tam wszystko było prostsze. Wolniejsze było. Tam się nie pyta o godzinę. A jak się człowiek wkurzy, to biegnie przed siebie i wywala na głos swoje pretensje. Po równo obdziela cztery strony świata! Niebu wygarnąć mogliśmy z chłopakami wszystko i nikt się wtedy z nas nie przejmował, że tam ktoś może siedzieć z drugiej strony. Gęba sama się śmiała i to z nadmiaru zielonego. Ty już tam sobie nie myśl, że trzeźwym być nie wiem, co to znaczy. Wiedziałem. Dziś trochę gorzej. Inaczej się już śmieję. Trochę na siłę. *(po chwili)*

Ten, co leżał obok, też się śmiał. Po cichu. Coraz ciszej. Aż w końcu zamknął się raz na zawsze. Wtedy miałem trzecią zapaść. Weź mi podaj tę butelkę, co tam stoi koło ciebie. No, no. Jak chcesz, to się napij. Śmiało. No patrz, już sobie myślisz, że wódki pić nie będziesz! A to woda! Woda! Bo jak w szpitalu pić miałem wódkę! Skręcało mnie, jak mi wodę pić kazali. Obrzydzenie brało. Usta i przełyk piekły jak diabli. Ciężko do normalności wrócić. Fuj! A co ty mi tu dajesz?! Gazowana! Nie cierpię gazowanej. Weź się zastanów, co? Chcesz, żebym czwartą zapaść miał?! Tamta trzecia to raczej nie, dlatego że się tak przejąłem losem tego, co tak jęczał. Raczej mu zazdrościłem. Wrócił w końcu tam, gdzie jest łatwiej i gdzie krzyczyć może do woli

i bluźnić, i wygrażać, bo nikt go tu nie dosłyszcy. Już tylko czasem zdarza się, że nasłuchuję nieśmiało, czy Paweł przyjdzie. Wie, że nienawidzę szpitali. Zresztą sam bym nigdy nie... Znowu wszystko będę musiał rozwalać sam. Tym razem sam do kwadratu. (*po chwili*)

Wypuścili mnie. Nie było zbytnio po co trzymać. Znaczący nikt mi tego nie powiedział. Sam powiedziałem... Sam się zwolniłem. Pacjent opuścił szpital na własne życzenie... Żądanie. Nie chcę tam. Mogę jeszcze na zewnątrz. Sam. Nie wiem jeszcze kiedy. Nie wiem jak długo. Raczej nie ma co liczyć, że zjawi się jakaś Weronika, co to mi twarz będzie ocierała. Nie ta historia. Mojej gęby nikt nie wytrze. I dobrze. O nic nie proszę. Sam sobie... poradzę. Moja Weronika już dawno na niebie wisi. Ej, ty! Stary, zmizerniałeś. Czysty czy nadal tankujesz jak głupi osioł? Kumpla spotkałem starego na mieście. Co tu więcej mówić? Nie porzuca się rozkoszy ot, tak sobie. Raz zasmakowana przyjemność uzależnia. Tak, jestem uzależniony! Ale nie od wódki! Co to, to nie... Od wolności! Sam wszystko muszę. Jak sam czegoś dobrze nie zrobię, to nikt tego za mnie nie zrobi! Wystrzegaj się takich, co to sami sobie ze światem radzą. Potem się dopiero okazuje, że wbrew pozorom wcale nie byłeś potrzebny. Paweł też nie był potrzebny! Nie był! Słyszysz?! Wcale mi nie jesteś już dłużej potrzebny! Tacy jak ja to przekleństwo. On to chyba wyczuł. Musiał to wiedzieć. Wszystko dokładnie przemyślał. Dlatego karał mnie tak długo. Głupi nie jest. Tak na wszelki wypadek dał mi od razu dożywocie. Dożywocie! Na to mnie skazał własny syn! Do samego końca będę przeklinał dzień, w którym zacząłem się głupio pytać, skąd właściwie przylazłem i gdzie leżę dalej. Dalej?! Nie wiem, kurwa! Skąd ja mam to wiedzieć?! Zastanów się! Nie wiem, nie wiem, nie wiem... To wszystko człowieka męczy. Wcale nie myślę teraz o kimś innym, w pierś się biję, że jestem winny! Zrymowało się nawet. Ja to bym się wstydził te rymowanki pleść. Brednie dla ludzi wysokich lotów niby. Tych z pierwszej klasy. Ja to chyba przyciągam gniew. Na przekór... Na pewno. Ja tam skrzydeł nie mam, i co? Też jakoś żyję. Przyznaję się otwarcie. Nieopierzony, to wstydzić się nie będę tych moich śmiesznych lotów. Paweł to co innego. Kiedyś nawet mogłem patrzeć, jak szykuje się wśród tych swoich. Jak spiskuje przeciw takim jak ja. On to chytry był, kryć się z tym potrafił i dobrze mógł na tym wyjść. Mógł, mógł. Nawet uważać nie musiałem, żeby nie spadł. Jego to przepaść zawsze otaczała, tylko mnie przecinała. Mnie to dopiero rżnęła. Za dużo śmieszności. A te moje to były w dodatku zbyt łatwe do podrobienia. Jak tak sobie przypomnę... To się w głowie nie mieści, ile ja razy chciałem wszystko zacząć od nowa. To były piękne chwile, i już minęły. To, co było, nie wróci. Nic nie wraca. Nikt nie chce wracać. Chyba że do dzieciństwa, a i to nie zawsze. Nie każdy. Nie on. On. Paweł. Też nie wracał.

*Paweł wstaje, pociąga za sznur wiszący z boku sceny, nagle z wolna obniża się pręt, na wysokość jego piersi. Przyciąga zza kulis ogromną balię, z parującą w niej gorącą wodą. Wyciąga po kolei białe koszule i bieliznę i wiesza na pręcie, po czym podciąga pręt z powrotem do góry.*

PAWEŁ Cicho! Co, tato? Słyszysz? Odrzutowiec leci! A ja też kiedyś będę takim latał? Będziesz, synku. To ja chcę, żebyś ty poleciał ze mną, bo ja się boję sam. Zobaczysz, jeszcze będziesz chciał wszystko sam. To chyba dobry moment, żeby mu powiedzieć to, co od dawna układam w myślach. Przepraszam panią, ale to pilne i ważne. Jego tu już nie ma. Jak to? Wypisał się na własne życzenie. Wypuściliście go w takim stanie? Panie, a co tu było ratować? Jeszcze przez parę minut nie tracę go z oczu. Idzie taki niewysoki z tym swoim kuferkiem na narzędzia, prosto przed siebie, z opuszczoną głową, jak ktoś, kto wie, że nikt na niego tu nie czeka. Co to ja miałem? A tak! Zaraz nastawię czajnik na herbatę. Umyję ręce, a potem, co potem, spróbuję zbudzić się z tego wszystkiego. Zaraz nastawię czwartek, umyję herbatę, bo z głowy to już wióry

pozostały. Nie ma czego zbierać. Nie zrobiłby mi tego, żeby tak to zakończyć. Dobrze, że przyszedłaś, usiądź tu koło mnie. On rzeczywiście miał zostać tu do czwartku. Ale ile tych czwartków mamy jeszcze w roku. Zgroza zimowa, ciemne konanie w samotności. Od rana bełkot. Kompletnie brednie. W ścianach żadnych przeraźliwych szczelin, którymi by donikąd cię wywiało. Koło prowizorycznego łóżka stoi wiadro. Jest zimno. Koszula rozpięta na piersi, jakby miała dopuścić ostatni łyk powietrza. Zachłyśnięcie się straszego mieszczanina w strasznym mieszkaniu. Myśle, że wtedy byłaś razem z nim tam. I może nawet ja tam byłem. Miało być mu tak łatwiej. Nie było. Nie mogło. Nie chciał. Może miałaś łzy w oczach. I tę bladą suknię z wielką kameą, którą tak lubił. Chudą rękę oparłaś na biodrze i patrzyłaś, jak biegnie w twoją stronę spowity zapachem francuskich perfum. Wszystko jakoś nie tak miało być. Przyszło w proch się rozsypać. Płasko. Jak ten zasuszony fiołek, co z kartek wypada.

OJCIEC Siedzę w moim nowym starym domu. Żle to wszystko rozegrałem. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że pojawiło się sporo błędów. Żle mogłem nawet płaszcz zawiesić na haku z gwoźdźcia zardzewiałego, bo mi się teraz wydaje, że jak wiatr nim porusza, to ktoś tam stoi. Ktoś stoi i cieszy się na ten mój żałosny widok. Nie stoi. Żadnej sylwetki. A już jego, to na pewno nie. Zimno w cholerę. Nic dziwnego, grudzień. Tylko że teraz to już naprawdę nie ma w co palców włożyć, żeby uchronić się przed mrozem. Śnieg czuję na policzkach. To chyba dobrze. To znaczy, że coś jeszcze czuję. Fakt, że skorupa twarda, ale zdawało mi się, że już zdążyłem się uodpornić. Gardła sobie nie podetnę. Już się tak nie przejmuj. Samo idzie. Ja też przez życie przeszedłem i to bez cukru. Nic już nie muszę, nawet mi się nie chce... Pić mi się chce. Nie masz tam czego przypadkiem jeszcze? Paweł!

PAWEŁ No co?

OJCIEC Już nic. Żałosne to całe pożegnanie, no nie? Chociaż... Do końca idzie według rozkazu. Do końca prawidłowe rozstanie. Szkoda tylko, że nieusłownione niczym, nawet nieszczęsną dziurą w niebie. No, trudno. Duszno na tym świecie. Słyszysz? Powietrza nam brak! Popatrz, oni tu wszyscy myślą, że zły Bóg to skandal! Słyszałeś? Jesteś jednym wielkim skandalem! A dajcie wy mi wreszcie wszyscy święty spokój... *Światło powoli wygasa. Kiedy powoli znów się rozjaśnia, Paweł siedzi przy fortepianie i gra przez chwilę. Ojca nie ma już na scenie, zostaje puste krzesło. Światło gaśnie.*